№ 12. Warszawa, dnia 8 (20) Marca 1886 roku.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

**W Warszawie** rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Uwagi ks. d-ra Meric'a o życiu przyszłem.—Po karnawale (wiersz).—Umarła, przez Oktawiusza Feuillet (dalszy ciąg).—Rycerz Mora (dal. ciąg). Główniejsze okazy roślinnego świata.—Wiadomości z kraju.—Wiadomości z zagranicy.—Rozmaitości. W Dodatku: Tajemnica księdza Cezarego. (ar. 7).

## OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

**Kwartalnie. . . rs. 2 kop. 50**
**Półrocznie . . . rs. 5**
**Rocznie. . . . . rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

**Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25**
**Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50**
**Rocznie . . . . . rs. 5**

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 12, w ciągu roku wydanych zostało 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

## Ks. D-ra Meric'a uwagi o życiu przyszłem.

PRZEZ

J. T. Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Cokolwiek mówią niewierni różnych barw, prawdą jest, że dusza nie jest dla człowieka rzeczywistością nieznaną, że każdy z nas ma o niej pojęcie jasne, że ją czujemy w sobie, choć jej widzieć nie możemy. Świadomość ta jest pewnikiem, a zkądby się wzięła, jeśliby nie było w wszechświecie nic, coby nie dało pierwiastków podobnej substancyi?

Z tą samą oczywistością, wie najuboższy duchem, że ta dusza jest istotnem źródłem: myśli, woli i miłości. Nie mózg, muskuły, nerwy, krew, myślą, chcą, kochają. Czujemy to głównie w chwilach ciężkich, gdy przychodzi nam stoczyć bój zacięty z ciałem, z jego żądzami i zachceniami. Zdaje nam się wówczas wyraźnie, że jest w nas ktoś drugi, który jest panem zmysłów.

Fenelon pisze: To, co nazywam *ja*, jest coś takiego, co myśli, poznaje i co nie wie, które wierzy, jest pewnem i mówi: ja widzę z pewnością; które wątpi, błądzi, spostrzega się i mówi: ja się omyliłem. To *ja* jest coś takiego, które chce i nie chce; które kocha dobre i nienawidzi złego, które pije rozkosz i boleść; które spodziewa się i obawia się, które cieszy się z tego, co ma, które pragnie tego, czego nie ma i t. d.

Każdy z nas posiada jasne pojęcie tego *ja*, t. j. substancyi, która jest zasadą: pewności, namysłu, wolności; dalej widzimy bezpośrednio przez spostrzeżenie i analizę, że wszystko się zmienia koło nas i w nas, t. j. w naszem ciele i w ciałach, które nas otaczają, a mimo to zostaje człowiek w istocie swej zawsze ten sam. Dochodzimy na skutek tego do przekonania, że jest w nas pierwiastek, który wymyka się z pod tych ruchów i tych przekształceń i który stanowi w nas tożsamość osobową.

Ta świadomość istnienia duszy, choć nie jest owocem doświadczeń zmysłowych, zasługuje na nazwę pewnika naukowego, przynajmniej tak samo, jak twierdzenie materyalistów o istnieniu nieznanych przyczyn, których nie widzi i nie dotyka, a których tylko skutki i następstwa sprawdza.

Rozprawiwszy się z materyalistami, przychodzi prof. Meric do pozytywistów.

Pozytywistów możnaby nazwać wytrzeźwionymi materyalistami, gdyż i ci i tamci zastanawiają się wyłącznie tylko nad materyą; lecz podczas kiedy drudzy nie wahają się robić śmiałych przypuszczeń, wkraczając bez obawy w dziedzinę rzeczy zaświatowych, zasklepiają się pierwsi skromnie w ciasnem kółku poznawania przyrodzonego, twierdząc, iż po za materyą nie ma nic okrom samych urojonych abstrakcyi, niegodnych nauki.

Stanowisko to niedostateczne, lecz uczciwsze od pychy materyalistów. Pozytywiści też, choć nie stworzyli właściwie pełnej nauki, zgromadzili jednak mnóstwo faktów, materyałów pożytecznych, które ułatwią kiedyś człowiekowi genialnemu zbudowanie całolitego systematu.

Pozytywiści są dumnymi z swej metody doświadczalnej i spozierają z pogardą na długie wieki przypuszczeń metafizycznych, oświadczając, że nie posiadamy żadnego sposobu sprawdzenia bytności niewidzialnych rzeczy, a więc one nie istnieją. Gdyby się jednak dobrze zastanowili, wiedzieliby, że oni sami posługują się ostatecznie tą wzgardzoną metafizyką.

Bo jakaż jest właściwie podstawa indukcyi? Oto ta zaprawdę, że dana przyczyna w tych samych okolicznościach, sprowadza te same skutki. A przecież to zasada na wskroś metafizyczna.

Analiza i rozważanie ułatwiają uczonemu rzeczywiście sprawdzenie niektórych fenomenów, za pomocą porównania i wiązania ich z przyczynami określonemi. Lecz wartość naukowa tych wniosków pochodzi z zasady przyczynowości, która dozwala ująć skutki i przyczyny tam, gdzie najuważniejsza obserwacya znajduje jeszcze tylko następstwa. Ale i ta zasada przyczynowości należy także do metafizyki.

Zresztą, pozbywszy się przesądu do metafizyki, trudno zaprzeczyć, że umysł ludzki odkrywa prawdę metafizyczną takim samym porządkiem, jakiego używa pozytywista dla odkrycia prawdy naturalnej. Rozważając np. świat, poznajemy, że on nie będąc ani koniecznym, ani wiecznym, ani też nieskończonym, utworzonym został i że pochodzi od przyczyny, różniącej się od siebie, a przechodząc szereg skutków i przyczyn stworzonych, dochodzimy do przyczyny, która nie jest uczynioną ani stworzoną; ona bowiem sama i jedyna jest wieczną, a jest nią Stwórca, Bóg. Rozważając dalej i analizując z uwagą nasze: myśli, uczucia i zachcenia i zastanawiając się po sprawdzeniu ich bytu nad ich charakterami, przekonywamy się z pełną oczywistością, że charaktery naszych myśli są zupełnie różne od charakterów materyi, bo nie posiadają ani barwy, ani kształtu, ani rozciągłości. Logiczny ztąd wniosek, że ponieważ zasada naszych uczuć, upodobań i myśli jest różną od zasady: barwy, kształtu i rozciągłości, źródło tych myśli i t. d., czyli dusza, nie jest materyą, ciałem, lecz czemś zupełnie innem.

Rozważając dalej naszą wolę i nasze sumienie, poznajemy, że one są rządzone prawem moralnem, wiecznem, niezmiennem, które panując nad wszystkimi ludźmi, jest utworzone i nałożone przez istotę wyższą od ludzi, a ponieważ każde prawo każe się domyślać prawodawcy, przeto ten prawodawca istnieć musi.

W ten sposób dochodzi się do świadomości duszy i Boga, których się ani widzi, ani dotyka, ani smakuje. W ten sam sposób dochodzą i pozytywiści do swoich pewników, boć materyał, zdobyty za pomocą bezpośredniego doświadczenia, nie jest jeszcze prawdą naukową, lecz tylko środkiem pomocniczym.

Niedowiarkom dzisiejszym zdaje się, że wygłaszają same rzeczy nowe, a tymczasem jest zasada ich twierdzeń tak starą, jak pierwsze zwątpienie pierwszego pesymisty. Przybywają tylko nowe szczegóły: istota nie zmienia się w niczem.

Dłużej jednak, aniżeli wszelkie materyalizmy i panteizmy, panowała zawsze wiara w duszę i jej nieśmiertelność osobową. Po każdem bankructwie naukowem wracano zawsze do tego prastarego „urojenia".

Badając historyę Hindusów, przedstawiających znakomitą część dawnej ludzkości, znajdujemy tam głęboką wiarę w życie przyszłe, choć pomieszane z marzeniami panteizmu i metempsychozy.

W Bhagarad-Gita, błogosławiony mówi do wojownika przed walką: Ty płaczesz nad ludźmi, których opłakiwać nie należy, lubo twoje słowa są słowami mądrości. Mędrcy nie opłakują ani żyjących ani umarłych. Albowiem nigdy istnieć nie przestaniemy w przyszłości. Bo te znikome ciała pochodzą od duszy wiecznej, nieulegającej zniszczeniu i niezmiennej. A tej duszy nie przebiją ani strzały, ani płomienie nie spalą, ani wody nie zniszczą, ani wiatry jej nie wysuszą. Nieprzystępna ciosom, paleniu, wilgoci i suszy, rozlana po wszystkich miejscach, nieruchoma, oto jej przymioty i t. d.

To pojęcie o życiu przyszłem znajdujemy także w szczątkach Zend-Awesty, ono cechuje wyraźne pokrewieństwo religii Zoroastra z religią Braminów; teologii Persów z teologią Hindusów.

Podług świadectwa Herodota taką była także wiara Egipcyan, którzy „pierwsi nauczali, że dusza człowieka jest nieśmiertelną".

Platon i Cyceron, którzy są najwydatniejszem wyrażeniem ducha greckiego i rzymskiego, popierają z swej strony silnie dogmat nieśmiertelności.

Każda rzecz — mówi Platon — powstaje z przeciwnej sobie rzeczy: sen z czuwania, śmierć z życia i nawzajem.

Wszystkie nasze wiadomości, twierdzi dalej „boski" filozof grecki, są tylko przypomnieniami uprzednich pojęć, znanych nam w innym świecie. Zapytajmy dziecka i człowieka ciemnego, mających rozum, o założeniach geometrycznych, pewnikach, prawdach pierwotnych, o dobroci, piękności niektórych wyrażeń i niektórych czynności, a oni pojmują i odpowiadają z pewnością i zgodnie z prawdą. Ponieważ zaś ta wiadomość jest równą we wszystkich ludziach i niezależną od wychowania, przeto jest ona tylko odżywionem wspomnieniem wiadomości, którąśmy już mieli, i stanowi dowód, że życie następuje po śmierci, a śmierć po życiu.

Zresztą to tylko, co jest złożonem, uczy Platon, może się rozłożyć i zniknąć, lecz to, co nie jest złożonem, nie może ani zmienić się, ani umrzeć. I dlatego dusza nasza umrzeć nie może, ponieważ jest pięknością, dobrocią, jednością, to jest rzeczywistością, nieskładającą się z części. Umrzeć nie może, bo to, co jest boskiem, godnem jest, aby rządziło, a to, co godnem jest aby rządziło, nie umiera. To, co jest nieśmiertelnem, rządzi, a to co jest śmiertelnem, ulega. Dusza nasza rządzi, a ciało ulega, więc dusza nasza nieśmiertelną jest, a ciało śmiertelnem.

W dziesiątej i dwunastej księdze praw, Platon, gardząc życiem obecnem i tą postacią, nazwaną ciałem, przypomina swoim uczniom, że: masa ciała, którą składamy w grobie, nie jest osobą którą opłakujemy.

A Cyceron oświadcza, że: im bardziej narody zbliżały się do początku rzeczy i do pierwszych utworów bogów, tem bardziej bez wątpienia prawda znaną im była, a starożytni wierzyli ogólnie, że śmierć nie każde uczucie niszczyła i że człowiek, opuszczając ten świat, nie bywa zniszczonym.

Przykład starożytnych, cześć umarłych, żądza dalszego życia w potomności czyli sławie, przepych grobów i napisów pomnikowych, oto dowody zewnętrzne, które wielki mówca Rzymu przytacza na poparcie swego twierdzenia.

Że naród żydowski wierzył także w duszy nieśmiertelność, wiadomo powszechnie.

Umierać, mówi Mojżesz, jest-to samo, co wrócić do swych ojców, połączyć się z swoim narodem.

Jest więc faktem historycznym, że wszystkie narody publicznie stwierdziły swoją wiarę w życie przyszłe, już-to w hymnach i pieśniach świętych, już to w przepychach grobowych i w czci umarłych. Filozofowie i prawodawcy wzięli to za podstawę swojej nauki i swoich praw.

Nasuwa się teraz pytanie, jakiem jest to życie przyszłe, co robi dusza po śmierci? Nauka w rozumieniu ścisłem nie daje na to pytanie odpowiedzi dostatecznej, a nawet nie umie dotąd określić dokładnie znaków śmierci.

Trzy główne i oczywiste zjawiska, odnoszące się do trojakiego życia: roślinnego, zwierzęcego i rozumnego, wykazują w nas nauki przyrodzone i filozofia. W istocie człowiek oddycha, wydziela, rośnie, odnawia się i spełnia funkcye, które nauka przypisuje roślinom; dalej czuje i zmienia miejsce, jak zwierzęta; w końcu myśli, rozważa i działa, co w kategoryi istot stworzonych jest tylko jego przymiotem.

Przerwanie, którego z tych trzech rodzajów życia, rozłącza człowieka z żyjącymi?

Nauka filozoficzna i chrześciańska, rozum i wiara, uczą nas, że śmierć jest rozdzieleniem dwóch substancyi ściśle za życia połączonych: z duszą, która należy do świata niewidzialnego i z ciała, którego prochy rozbiera analiza chemiczna i wykazuje nieustanne przekształcenie w wirze życia, w niezmiernym zbiorniku natury.

Podług Bichata i fizyologów jego szkoły, śmierć jest ustaniem funkcyi jednego z trzech organów, stanowiących trójnóg życiowy: mózgu, płuc i serca. Ogólnikowe to jednak określenie.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# PO KARNAWALE.

Przeminęły chwile szału,
Najpiękniejszych dziewic marzeń,
Dla mnie z tego karnawału,
Nie zostało żadnych wrażeń.
Co wieczora otoczona
Gronem wykwintnej młodzieży,

Słodkiemi słowy karmiona,
Przez wyborowych tancerzy,
Muszę jednak wyznać szczerze,
Nie obciążając sumienia,
Czcze słowa w które nie wierzę,
Nie budzą nawet złudzenia.
A jednak, serce uderza,
I rade słyszéć oddźwięki,
Gdzież mam odszukać rycerza,
Godnego niewieściej ręki?

* * *

Za rycerza, miej przy boku,
Dostojnika pracy, chwały,
Pierś ze stali, ogień w oku,
By go w tłumach wyróżniały;
By honor cenił nad życie,
Życie, poświęcił ojczyźnie,
Miłość swą oddał kobiecie,
Cześć i szacunek, starszyznie,
Co silnych łatwo zwycięża,
Z słabemi unika walki,
Takiego odnaléź męża,
Strzeż się, zamiast męża... lalki.

*W. R.*

Dnia 10 Marca 1886 roku.

---

# UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

*Joanny Belejowskiej.*

CZĘŚĆ DRUGA.

(Dalszy ciąg.)

W końcu Września tegoż roku, państwo de Vandricourt zamieszkali stale w Valmontiers. Był to sezon myśliwski, co osładzało panu de Vandricourt pierwsze chwile przejścia z dawnego do nowego życia. Co do Aliety, początki pobytu na wsi, stanowiły dla niej epokę niczem niezamąconego szczęścia. Odetchnęła swobodniej. Zdawało jej się, że po długiej żegludze pełnej niebezpieczeństw, wstrętu i zrozpaczenia, dopłynęła nareszcie do portu. Czuła teraz z rozkoszą, że jest znowu panią siebie i córki, że teraz dopiero prawdziwie posiada swego męża. Nigdy dotąd nie kochała go tak bezgranicznie i nigdy więcej nie starała się podobać mu i odgadywać jego chęci. Prawie codziennie wyjeżdżała z nim konno; odbywali długie, wesołe wycieczki w nieznane im okolice. Nauczyła się strzelać, aby módz towarzyszyć mu na polowaniach; ale nigdy nie strzelała bardzo celnie, jako zbyt nerwowa i litościwa dla zwierzyny. Zapraszała mu seryami wyborowe myśliwskie towarzystwo, składające się z paryzkich jego przyjaciół i niektórych znajomych sąsiadów, chcąc tym sposobem oswoić go powoli z pobytem na wsi i nie dać odrazu zbyt silnie uczuć ciężaru osamotnienia, zachowując dla siebie rozkoszne sam na sam w długie zimowe wieczory, gdy śnieg pokryje lasy.

Pan de Vandricourt, któremu długie, zimowe wieczory nie w tak różowem może przedstawiały się świetle, używał tymczasem obecnego życia, nie wiele różniącego się od tego jakie zwykle prowadził w tej porze roku. Tylko dotąd polował u innych, teraz zaś po raz pierwszy u siebie, a nieprzyjemności dotykające właściciela, osłabiały bardzo rozkosze myśliwego. Obawiał się i gniewał nieustannie na kłusowników, bonujących po lesie. Od rana do wieczora podniecał gorliwość leśniczych, a mówiąc o tych *przeklętnikach*, unosił się gwałtownym gniewem, tak sprzecznym ze zwykłą mu nieco szyderską obojętnością, iż bawiło to bardzo Alietę.

Pewnego poranku, szedł skrajem lasu z psem i z dubeltówką, gdy nagle wystrzał rozległ się w pobliżu i chwiejący zając wysunął się z zarośli i padł tuż przed nim. Jednocześnie osoba niezwykłej powierzchowności, przeskoczyła jednym skokiem pokryty murawą rów, oddzielający las od równiny i zatrzymała się o dwa kroki od zająca i od pana de Vandricourt.

— Przepraszam pana — powiedziała spokojnie — zając ten padł w należącej do niego gęstwinie, ale zastrzeliłam go na równinie i sądzę, że należy do mnie.

Hrabia de Vandricourt nie odpowiedział zaraz na to wezwanie, miotany zarazem zdumieniem i oburzeniem; stojąca przed nim kobieta mogła miéć lat dwadzieścia i była nadzwyczaj piękna. Miała na sobie nader prosty kostium myśliwski, składający się z rodzaju bluzy z brunatnej wełnianej materyi, takież szerokie pantaliony i lekki okrągły kapelusz.

— W zasadzie mogłaby to być bardzo wątpliwa kwestya — odpowiedział po chwili — ale skoro pani ją stawia, jest więc tem samem rozwiązana... Ma pani swego zająca.

Wzięła zająca od hrabiego i podziękowawszy dość oschłem skinieniem głowy, zabierała się do odejścia.

W tejże chwili, pies Bernarda, podniecony widokiem zabitego zająca, spłoszył dość niezręcznie z zarośli stado złożone z jakich dwudziestu kuropatw. Pan de Vandricourt podniósł prędko dubeltówkę i strzelił dwukrotnie, ale że był roztargniony, żadna nie padła, choć strzały mogły je były dosięgnąć.

Kobieta, która zatrzymała się, oczekując rezultatu strzału, zawołała tylko poważnym swoim, melodyjnym głosem: „Spudłował!" i przeskoczywszy rów, śpiesznie odeszła.

Hrabia patrzył na nią dzikim wzrokiem dopokąd nie zniknęła w oddali i mruknął pod nosem: „A to co znów za facetka!" Poczem nabił dubeltówkę i poszedł w las zamyślony. Niezadługo spotkał jednego z leśniczych i zaczął z nim rozmawiać.

— Nakryj głowę, Lebuteux — rzekł najpierw, poczem dodał: — Powiedz mi co to za jedna jest ta jakaś pani ubrana jak chłopiec, która poluje gdzieś w pobliżu. Prawie tuż przy nogach moich zabiła mi zająca, a na domiar zuchwalstwa śmiała jeszcze dopominać się o niego.

— A! panie hrabio — odrzekł Lebuteux — pewnie musiała to być panna z La Saulaye .. panna Sabina!

— Aha! więc to panna — odrzekł hrabia — nie byłbym się tego domyślił!... Więc to ona mieszka w La Saulaye, z tym uczonym doktorem, z tym starym dziwakiem?

— On nie jest stary — odrzekł leśniczy — tylko zawsze zatopiony w księgach... o! ten nie myśli o polowaniu... Ale co do panny, oho! ta jak wpadnie w zapał, nie zna co moje a co twoje... Nie bawi się w rozumowanie, jak to zwykle kobiety... Zawsze się włóczy nad granicą posiadłości pana hrabiego i bez żadnej ceremonii wpada do lasów pańskich, czy to za żywą czy zabitą zwierzyną lub ptastwem.

— Lebuteux! i ty mówisz to tak spokojnie!... Ależ to rzecz niesłychana!... trzeba spisać z niej protokuł jak tylko ją złapiesz na uczynku!

— Hum! naturalnie zrobi się to, jeźli pan hrabia tak każe... tylko, że ci państwo z La Saulaye... jak zapewnie panu hrabiemu wiadomo... jakby to powiedzieć?... otóż są to ludzie, którym nie chciałoby się zrobić przykrości.

— Czemu? czy zajmują się czarami? — zapytał z uśmiechem hrabia.

— Eh! nie, panie hrabio; ale gdyby nie owa nieszczęsna mania kłusowania po cudzych lasach tej panny Sabiny, nie możnaby nie uznać, że to dobrzy ludziska i wiele dobrego robią w okolicy.

— Wszystko to być może, tylko niech ta panna Sabina nie strzela do mojej zwierzyny... No, bywaj zdrów, Lebuteux, a pamiętaj być surowym.

I hrabia odszedł groźnie, potrząsając głową. Lecz zaledwie uszedł kilka kroków, gniew ustąpił miejsca łagodniejszym myślom, jak tego dowodzi zrobiona sobie samemu uwaga: „Co się nazywa okazale piękna dziewczyna... harda impertynentka, ale przepysznie zbudowana!"

Przy śniadaniu opowiedział wesoło żonie i gościom swoją nie zbyt pochlebną przygodę z panną z La Saulaye.

— La Saulaye? — spytała Alieta; czy to nie ten ponury dom na lewo od drogi do Cormiers, kryjący się wśród drzew otaczającycyh także duży czarny staw?

— Tak jest — odrzekł Bernard — oboje zwróciliśmy na niego uwagę. Jest-to rodzaj angielskiego budynku, wyglądający nader posępnie, właśnie z powodu wielkich zasłaniających go wierzb... Ale któż tam mieszka?

Pomiędzy gośćmi było kilku okolicznych mieszkańców i ci dali dość niezrozumiałe odpowiedzi na to pytanie, z których trzeba było wnosić, że zamieszkujący La Saulaye, nie szczególną cieszyli się opinią u poblizkiej arystokracyi. Właścicielem La Saulaye był doktor, nazwiskiem Tallevant, który od dość dawna przyjął w dom swój starą schorzałą ciotkę wraz z córką jej, której był opiekunem. Czas jakiś praktykował w Paryżu, następnie odziedziczywszy w spadku znaczny majątek, zarzucił liczną już praktykę i zamieszkał na wsi, aby zgodnie z upodobaniem swojem, oddać się wyłącznie nauce. Zajęty doświadczeniami i badaniami naukowemi, cały czas mu zajmującemi, tylko biedakom okolicznym udzielał rady i pomocy, odmawiając stanowczo wszystkim, będącym w możności płacenia doktora. Tym sposobem zniechęcił sobie bardzo wiele osób, którzy zwabieni jego sławą uczonego i biegłego doktora, przyjeżdżali nieraz z bardzo daleka, aby zasięgnąć jego rady, jakiej im odmawiał nielitościwie. Nie szczędzono mu za to obmowy i potwarzy. Niepodobna było zaprzeczać mu wielkiej nauki, bo niedawno właśnie Instytut wynagrodził uczone jego prace tytułem członka korespondenta, ale jego jawnie wyznawane doktryny filozofa wolnego myśliciela, życie prywatne dziwnie tajemnicze, piękność wychowanicy, którą wychowywał tak oryginalnie,

wszystko to razem dostarczało bogatego wątku do plotek i komentarzy.

Jakkolwiek następnych dni hrabia de Vandricourt nader baczny rozwinął nadzor nad granicami swej posiadłości, nie udało mu się jednak dojrzéć błyszczących z pośród zarośli czarnych, śmiałych i zimnych oczu panny Tallevant. Może leśniczy Lebuteux przestrzegł skrycie śmiałą myśliwą o surowych poleceniach hrabiego i cofnęła się przed prozaiczną groźbą protokułu, a może też zaprzągł ją do pracy uczony jej opiekun, który tak ją wychował, iż mogła już-to w gabinecie zastępować mu sekretarza, już-to preparatora w laboratoryum, gdyż doświadczenia chemiczne i fizyczne stanowiły najmilsze jego zajęcie; dość, że do końca sezonu myśliwskiego, hrabia nigdzie nie spotkał sąsiadki. Raz tylko, gdy przejeżdżał konno wraz z żoną około La Saulaye, zdało mu się, że spostrzegł piękną swoją nieprzyjaciółkę, jak cień przesuwającą się przez ogród.

Alieta podzielała ciekawość męża co do mieszkańców La Saulaye; tajemnica otaczająca ten dom samotny i milczący, przemawiała żywo do jej romantycznej wyobraźni. Nazywała go domem alchemika. Był to wielki murowany pawilon dokoła otoczony drzewami, a rozrzucone wśród nich murawy i kwatery źle utrzymane, dowodziły, że oddane były wyłącznie staraniu i gustowi nieudolnego wiejskiego ogrodnika. Od czasu, gdy liście opadły z wielkich drzew, rosnących wkoło stawu, dom wydawał się mniej ponurym, nie tracąc jednak jakiejś niemiłej powierzchowności, a staw zasłany gnijącemi liśćmi, przedstawiał się zawsze czarno i posępnie.

Zima, z początku długo każąca czekać na siebie, nadeszła wreszcie ciężka i ostra. Najuprzejmiejsi nawet goście powrócili do Paryża, zostawiając państwa de Vandricourt samych w domowem ognisku. Drogi zasypane śniegiem lub popsute roztopami, przerwały rzadkie sąsiedzkie odwiedziny; słoty i niepogody nie dopuszczały polowania lub czyniły je zbyt niemiłem i nużącem. Tak więc o jakiebądź rozrywki było nader trudno i głównie na siebie tylko liczyć można było.

Bernard przygotowany zawczasu na tę ciężką próbę, czynił co mógł aby ją przetrwać bohatersko. Rano wychodził zawsze naprzeciw listonosza, co mu już trochę choć czasu zajmowało; potem dość długo czytał gazety. Nader czynnie zajmował się końmi, stajnią i ich przepysznemi siodłami. Następnie grywał z żoną na fortepianie; malował akwarellą i uczył malować Alietę. Wieczorem czytywali razem dawnych ulubionych autorów, różne pamiętniki, niektórych poetów tegoczesnych, znakomitych krytyków i nareszcie powieści angielskie. Jakże błogiem życie to wydawało się Aliecie, która zajęta domem, wychowaniem córki, oraz pobożnemi praktykami, nie doświadczała ani chwili nudów. Nadto żywiła wrodzone zamiłowanie do wsi, a przyroda nawet i w zimie, miała dla niej jakiś poetyczny urok. Jedna tylko natrętna myśl zakłócała jej szczęście: Czy Bernard był równie szczęśliwy? Pomimo, iż starał się okazywać spokojnym i wesołym, często jednak czytała w twarzy a nawet w słowach jego jakieś posępne myśli, gorycz i zniecierpliwienie.

W rzeczywistości nudził się śmiertelnie. Wobec żony, czynił co mógł, aby tego nie okazać, ale gdy wieczorem wchodził do swego pokoju, wypalał niezliczoną liczbę cygar, probując daremnie zabić tym sposobem ogarniającą go tęsknotę i zniechęcenie. Stawał przy oknie zapatrzony w głęboką ciemność, panującą nad polami i nad lasem; słuchał powiewu zimowego wiatru, przesuwającego się wśród drzew ze szmerem, jakby oddalonej morskiej fali i nagle myśl jego przenosiła się na ulubione bulwary, jaśniejące w tejże chwili jakby mleczna droga. Widział jaśniejące światłem przedsionki teatrów, ożywione tłumy, cisnące się przed wspaniałemi wystawami sklepowemi, życie pulsujące wszędzie. Zdawało mu się, że oddycha zapachem właściwym bulwarom wieczorem, a będącym mieszaniną gazu, cygar, kuchni mieszczących się w suterynach: upajającą wonią, zalatującą niekiedy ze sklepów z kwiatami; oddzielną atmosferą salonów klubu, wnętrza kulis, loży aktorek; wyziewami rozchodzącemi się na schodach i w przedsionkach teatralnych w chwili wychodzenia po skończonem przedstawieniu; mocną woń kosztownych futer, że patrzy na białe, odkryte ramiona pięknych pań. Wszystkie te wrażenia spotęgowane wyobraźnią Bernarda, w samotności i ciszy wiejskiej, budziły w nim nieprzeparty żal i żądzę odzyskania utraconego raju.

Wpadał on tu w błąd szczególny, a jednak nader pospolity: wyobrażał sobie, że intelligencya jego domaga się Paryża, kiedy w rzeczywistości domagały go się tylko jego zmysły.

Był człowiekiem rozumnym i ukształconym, a nawet lubił oddawać się badaniom naukowym, dopokąd bezwględny sceptycyzm nie odstręczył go od wszystkiego prócz zamiłowania zabaw i uciech. Pomimo to, jak większa część Paryżan przesadzonych na prowincyę, pochlebiał sobie tylko, że tęskni za umysłowem życiem stolicy, nie, on równie jak inni żałował tylko łatwych rozrywek, rozkoszy nastręczających się na każdym kroku, zagłuszającego zgiełku, a przedewszystkiem świata kobiecego.

Alieta przeczuwająca co się dzieje w duszy męża, pewnego wieczoru zdobyła się na wielką odwagę:

— Czy wiesz, mój drogi, co musisz zrobić?—rzekła kładąc mu ręce na ramionach. — Trzeba żebyś na jakie dziesięć dni pojechał do Paryża.

— Po co? — odpowiedział nieco zmieszany — bardzo mi tu dobrze.

— To też właśnie, abyś się nie przesycił szczęściem, pragnę abyś pojechał—odpowiedziała śmiejąc się — a potem mam cię prosić o masę sprawunków... I tak, najpierw potrzeba mi wielkiego ekranu przed kominek w czerwonym salonie, dalej firanek do salonu, parawanu w stylu Ludwika XIV... czy słyszysz, koniecznie Ludwika XIV-go i wielu, bardzo wielu jeszcze rzeczy, których spis doręczę ci jutro.

— Jedź lepiej sama, Alieto, dobierzesz sobie według upodobania.

— O! nie; ty masz gust daleko lepszy... Po Wielkiejnocy, pojedziemy razem na jakie sześć tygodni do Paryża... a zanim to nastąpi, musisz jeździć tam co miesiąc i załatwiać moje komisa... Oto program jaki ułożyłam sobie w mojej główie... w tej oto główce! — dodała uderzając się w czoło swym ślicznym paluszkiem.

Pan de Vandricourt ucałował czoło i paluszki żony, z miną człowieka zniewolonego tylko poddać się rozkazowi, ale nic już nie odpowiedział.

Nazajutrz, w piękny styczniowy przymrozek, wesoło puścił się w drogę, a w cztery godzin później, deptał już upragniony asfalt, ciągnący się od ulicy Vivienne, do bulwaru de la Madeleine.

We dwa dni później, zjadłszy śniadanie w klubie, usiadł na ulubionem swojem miejscu przy oknie i zaczął przeglądać dzienniki poranne, myśląc sobie wesoło:

— Doprawdy, podobne życie może być znośnem... ośm do dziesięciu dni spędzonych co miesiąc w Paryżu, wystarczą aby człowiek nie zdziczał i nie zardzewiał... lub nie zaczął chodzić w sandałach... Co to, Karolu? depesza telegraficzna?

— Tak — odpowiedział służący, zbliżający się z tacą srebrną w ręku — telegram do pana hrabiego.

Wziąwszy depeszę rozdarł kopertę i przeczytał telegram: „Joasia niebezpiecznie chora. Alieta."

— Masz tobie!... no, naturalnie — szepnął i z gniewem machnął ręką, po chwili dodał głośno: — Karolu, podaj mi *Przewodnik kolejowy*.

Służący podał żądany *Przewodnik*, Bernard przerzucał gorączkowo kartki.

— Proszę cię, idź zawiadomić Piotra, że wyjeżdżam pociągiem odchodzącym o trzeciej... Niech przygotuje wszystko.

— Dobrze, panie hrabio.

O trzeciej godzinie hrabia zastał służącego, oczekującego na dworcu kolei.

— Czy aby pan hrabia nie odebrał jakiej złej wiadomości? — zapytał z uszanowaniem.

— Córka moja zachorowała — odpowiedział.

„Łatwo przewidzieć — myślał sobie, siadając w wagonie — że ilekroć parę dni będę nieobecnym, zaraz Joasia zachoruje... lub coś podobnego wypadnie... a ja czuć będę ciągle okręcony około mej ręki drut telegraficzny... To mi rozkoszne życie!..."

I na ten temat snuł najrozmaitsze myśli, gniewając się najniesprawiedliwiej, przez większą połowę drogi. Dopiero w pobliżu Valmontiers, gniew ustąpił przed niepokojem. Pomyślał sobie, nieco zapóźno, że Alieta nie była jedną z tych kapryśnych kobiet zmiennej woli, aby z dnia na dzień odmieniać postanowienia, a tem mniej mogłaby posługiwać się w tym celu kłamstwem lub podstępem. Zbudziło się także głębokie jego przywiązanie do córki.

Przed dworcem w Valmoutiers, powóz oczekiwał na niego, gdyż do pałacu było jeszcze kilka kilometrów drogi. Spostrzegł zaraz, że twarz jego starego przywiązanego stangreta nie była tak obojętnie spokojna jak zwykle.

— Jak się ma córka moja? — zapytał żywo.

— Panienka bardzo chora — odpowiedział.

— Pędź jak najśpieszniej!

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

Słowa te i łzy dziwnie rozrzewniły Bartka. I on się także rozpłakał, bo był tkliwego serca. Zatrzymał konia, zszedł z niego i zapominając o swem poselstwie, o Szwedach, o kasztelance, o wszystkiem, chwycił Jagusię wpół, zsadził ją z konia i tuląc a całując po zapłakanem liczku, pocieszał jak mógł. I byłoby Bóg wie jak długo trwało to słodkie pocieszanie, które obojgu zakochanym było bardzo miłe, gdyby nie daleki turkot i tentent koni. Ktoś widocznie jechał, ale widzieć go jeszcze nie można było, bo choć w tem miejscu las się kończył i roztwierały się dalekie nagie, jeno

śniegiem pokryte pola, to przecież droga pięła się pod górkę i ta górka nie dozwalała dostrzedz zbliżającego się wozu czy bryczki.

Bartek skoczył i zawołał:

— Ktoś jedzie.

— O mój Jezu, to pani! — krzyknęła przerażona Jaguś — to pani... pani:.. co my nieszczęśliwi uczynimy!...

Pobladła jak płótno, śliczne oczki szeroko roztworzyła, załamała rączki i stała tak, jakby skamieniała. Bartek także przez chwilę był mocno zalterowany, czerwony jak burak stał przy koniu, nadsłuchując turkotu i spoglądając na swą bogdankę. Nagle w oczach jego błysnął jakiś groźny płomień, zaciął usta, ścisnął pięście i zbliżając się do przestraszonej dziewczyny, wziął ją wpół i jak dziecko posadził na koniu. Potem dosiadł swego ogierka i rzekł:

— Stój tu Jaguś, ja pojadę na górkę i obaczę. Stój tu, nie ruszaj się!

I nie czekając na odpowiedź, spiął konia ostrogami i pędem wpadł na wierzchołek górki. Niedaleko od niej, o dwa może stajanka, gościniec wiodący do Krzepic spotykał się z inną drogą, którą właśnie jechała pełną rysią karoca, otoczona dokoła dziesięcioma zbrojnymi hajdukami w barwie żółtej i czarnej. Karoca, zaprzężona w cztery konie w lejc, dudniała po zmarzłej ziemi, szable hajduckie brzęczały i cała ta kalwakata robiła dużo wrzawy na pustem, śniegiem jeno i krzakami jałowcu pokrytem polu.

Bartek popatrzał na to wszystko przez chwilę i ciężko odetchnął. Spadł mu kamień z serca. To nie była jego matusia. Odwrócił się i począł ręką przyzywać stojącą za górką Jagusię, a tymczasem karoca, spostrzegłszy zapewne stojącego w blasku słonecznym Bartka, zatrzymała się i czterech hajduków pędem ruszyło ku niemu. Jaguś też z drugiej strony nadjeżdżała i Bartek nie rozumiejąc, czego chcą od niego owi hajducy, wpadł znowu w alteracyę. Tymczasem, kiedy on tak stoi i nie wie co ze sobą czynić, hajducy dopadli, konie na miejscu osadzili, i jeden z nich, chłop jak dąb rosły i czarny na gębie, spytał ostro:

— Kto waść jesteś?

— A waści co do tego? — oburknął się Bartek.

— Musi mi być coś do tego, kiedy pytam.

— A to sobie pytaj, ja ci zasie nie odpowiem.

— Znajdą się sposoby rozwiązania ci języka, mój mości panie! — ozwie się ostro hajduk.

— Cóż-to?! — krzyknął Bartek już w pasyi — zbóje jesteście, że na drodze ludziom zastępujecie? Won, z drogi! bo ja nie mam czasu tu z wami gadać!

— Ostry szlachcic! — ozwie się jeden z hajduków, a ten co pierwszy pytał i widno był nad nimi przełożony, popatrzał na Bartka i na nadjeżdżającą Jagusię, i rzekł:

— Czy mi się widzi, czy nie, ale zdaje mi się, że to pan Bartek Koszarski z Wąsosza!

Bartek zalterował się jeszcze bardziej tem, że go poznano i ozwie się:

— Albo co?

Ano nic... tu w tej karocy jedzie imcipani starościna warszawska.

— Pani Grzybowska?

— Ona sama.

— Ano, to niechże sobie jedzie. A mnie co do niej i jej do mnie!... — mruknął Bartek.

— Ho, ho! — zawołał hajduk — z waści widzę całkiem dziki szlachcic. Gdzieżeś się to waść chował?

— Bodajże cię zabito, psi synu! — huknie Bartek i chwyci za szablę — dam ja-ci tu chowanie, aż ci się prababka przyśni!

Trząsł się cały od gniewu, czerwony był jak burak a oczy mu tak latały, jakby był w febrze. Konia spiął ostrogami i z gołą szablą w garści chciał się rzucić na owego przełożonego nad hajdukami. Ten uskoczył w bok, a w tymże momencie Jaguś uchwyciła Bartka za rękaw i nuż go wstrzymywać a molestować.

— Bartuś! Bartuś, daj pokój! Na zbawienie cię zaklinam, daj pokój.

Ale Bartek się miotał na koniu jak szalony i wyrywał się Jagusi, nie mogąc się wyrwać.

— Puść mnie — wołał — puść, bo jak Pana Boga kocham nie zdzierżę. A taki, a taki synu, dam ja ci chowanie. Bodaj cię kat spalił! Jaguś, puść mnie, puść...

Przełożony tymczasem dobył szabli, to samo uczynili inni hajducy, i już było kapitalnem głupstwem i zaślepieniem ze strony Bartka chcieć bić się z taką przemocą. Szczęściem Jaguś trzymała go mocno, a w tejże chwili karoca, widząc co się dzieje, nadjechała z resztą hajduków. Zaraz też spuściło się w niej okno i wyjrzała z niej głowa niewieścia, ubrana w futrzany kołpaczek i zabrzmiał srebrny, silny głosik:

— A co to się dzieje, mości Buchta?

Nazwany Buchtą, przełożony nad hajdukami, z wielką rewerencyą zdjął kołpak i podjechał do drzwiczek karocy i rzekł:

— Jaśnie wielmożna starościno, ten szlachcic oto, jest pan Bartek Koszarski z Wąsosza i do szabli się wziął kiedyśmy go prosili...

Przerwała mu starościna, wołając głośno:

— Panie Koszarski, proszę sam tu do mnie — i uchyliła głowę tak, że Bartek ujrzał wlepione w siebie jej duże, piękne jeszcze, oczy niebieskie.

Nie było rady, Bartek markotny i zły podjechał do drzwiczek karocy i uchylił czapki. Starościna, osoba już niemłoda, koło czterdziestki pono licząca, ale piękna jeszcze nadzwyczajnie blondynka, obaczywszy go przed sobą nuż trzepotać się i paplać:

— A godziłoż się to nie chcieć do mnie przyjść? Po kawalersku-ż to jest? A pfe! taki młody szlachcic i taka gorączka. Proszę bardzo, schowaj mi waść zaraz szablę. Waścina szabla potrzebna na wroga Rzeczypospolitej a nie na swoich. Przeproś mnie zaraz mości Koszarski. Zleź z konia i przeproś!

I wyciągnęła maleńką, śliczną, białą rączkę. Bartek markotny, nie chcąc w oczach tak pięknej i wielkiej damy wydać się barbarzyńcą, zlazł jak niepyszny z konia i głośno ucałował podaną sobie rączkę.

— A teraz pogadamy — mówiła starościna — teraz jesteśmy w zgodzie. Mości Buchta! — zawołała do swego marszałka — każ ludziom odsunąć się na bok.

Gdy to Buchta wypełnił, starościna trzepocząc się, śmiejąc i umizgając, dalejże pytać Bartka:

— Toć waść nie w Wąsoszu? Pozwoliłaż ci matusia bujać po świecie samemu? Słyszę że Żwan jakąś kupę zebrał i chce pono kasztelankę odbić z Krzepic. Może waść do niego na wolontaryusza się zaciągnąłeś?

— Tak! — odrzekł Bartek wciąż zły i markotny.

— A to pięknie, to bardzo pięknie. Słychanaż to rzecz, by taki rycerz siedział jeno zawsze przy fartuszku matki. Chwalę to waści bardzo, bardzo chwalę. Gadali mi wczoraj, że ten Żwan zabrał wszystkich hajduków waścinej matce? I to dobrze zrobił, ja sama, żebym go napotkała, oddałabym mu moich. Na to ich nawet zabrałam ze sobą. Zarazbym mu ich oddała.

— Nic to trudnego, moja mości pani — odrzekł na to Bartek — Żwan ztąd niedaleko, o milkę, stoi przy gościńcu z Kłobucka ze swoją partyą...

Słowa te uderzyły widocznie starościnę. Spoważniała, obejrzała się dokoła i rzeknie prawie szeptem:

— Prawdę mi waść mówisz?

— Szczerą prawdę.

— A cóż on tu czyni, ten Żwan?

— Odpoczywa.

— Jakto odpoczywa!?

— Ano, bośmy całe rano bili Szwedów.

— Biliście Szwedów?... zmiłuj się, co mi tu gadasz?

— Prawdę, mościa starościno.

— I cóż, gadajże mi, pobiliście ich?

— Z kretesem; żywa noga nie wyszła!

— Patrzajże! — plasnęła z ogromnem zdziwieniem w białe ręce — wycięliście ich do nogi?... kiedyż to było, zmiluj się?

— Dziś rano.

— *Mon dieu! Mon dieu!* a to niesłychane rzeczy!... Któż był komendantem Szwedów?

— Horn.

— Horn, z Krzepic?

— Tak, wzięliśmy go nawet do niewoli.

— Do niewoli wzięliście Horna! nie, waść mi tu bajdy chyba opowiadasz?

— Ja tu bajd nie gadam, jeno prawdę. A nie wierzy mi pani starościna, to niech jedzie do obozu. Ztąd niedaleko. Żwan stoi u leśniczego w borze, podle drogi... Obaczy tam waszmość pani samego Horna, jak, cięty kosą w piersi, leży... Ja oto jadę od Żwana w poselstwie do Krzepic, do tamtejszego komendanta, żeby wymienił za Horna kasztelankę.

— Ty jedziesz w poselstwie! — zaśmiała się starościna — to pięknie, to bardzo pięknie, panie Bartku. No, to jedźże z Bogiem, ja zaś pędzę do waszego obozu. A toście się spisali! I powiadasz, że żywa noga nie wyszła?

— Nawet zwiastuna klęski nie ostało, jak mówi ten dyabeł Łęczycki.

— Jaki dyabeł Łęczycki?

— A bo go to waszmość pani nie zna?... Boruta!

— To i pan Boruta u was jest?

— A jest.

— No, no, no!... co się to porobiło w tak prędkim czasie. No, no, no! — szeptała starościna, czegoś poważnie zamyślona. Po chwili jednak ocknęła się ze swej zadumy i rzekła:

— Nie zatrzymuję waszmość pana... Jedź, bo dla ciebie czas drogi. Ja też pojadę do waszego obozu na krótko, bo i mnie spieszno, ale chcę pogadać z panem Żwanem.

A spostrzegłszy nadjeżdżającą w tej chwili Jagusię, obrzuciła ją bystrym wzrokiem i spytała:

— A to co za szlachcic?

Bartek zaczerwienił się jak rak i odrzekł jąkając się:

— To mój towarzysz poselstwa.

— A jakże się zowie?

— Hm! zowie się... zowie się, moja mościa pani... rycerz Litawor.

— Litawor? no, proszę.

I zwracając się do Jagusi, spytała:

— Mój mości panie, przebacz mej ciekawości, ale ja nie słyszałam jeszcze, żeby się kto zwał Litawor. Zkądże waść rodem...

— Ja... — szeptała srebrnym głosikiem Jagusia, otulając szczelnie twarzyczkę, ja jestem tutejsza...

— Jagusia! — zawołała, śmiejąc się i trzepocząc rękami starościna — Jagusia! wychowanka i krewniaczka pani Koszarskiej z Wąsosza! *Ah mon Dieu, que c'est drôle!...* Prawda, mówiono mi, że cię Żwan zabrał wczoraj z Wąsosza! Ah, jakże to dziwnie! jakże to dziwnie! I w obozie jesteś, Jagusiu! Jagusiu!

Ale Jagusia nie słuchała wołania tego, jeno wsadziwszy ostrogi koniowi w brzuch, pognała naprzód jak szalona. Bartek, obaczywszy to, dopadł także swego ogierka, skoczył na niego i nie kłaniając się wcale starościnie, nie zważając na jej wołanie, spiął konia i ruszył za swą bogdanką. Starościna została sama, pokładając się od śmiechu w karecie. I tak uśmiawszy się do syta, zawołała Buchtego i kazała mu jechać drogą do Kłobucka. Zaraz też karoca i hajducy, zdziwieni tem wszystkiem, ruszyli rysią ku obozowisku Żwana.

Tymczasem Bartek pędził jak szalony za uciekającą Jagusią. Ta, jak gdyby straciła przytomność, gnała ze wszystkich sił, pochylona na swym koniu, a za nią Bartek. Napróżno wołał, krzyczał. Wszystko to nic nie pomagało, owszem Jagusia na krzyk Bartka jeszcze bardziej naglila swego konia do pośpiechu. Pogoń ta trwała z dobre ćwierć mili i Bartek był wściekły. A dopiero w pobliżu wsi jakiejś, Jagusia obejrzała się i spostrzegłszy że sam Bartek za nią leci, wstrzymała konia.

Przypadł Bartek gniewny, zdyszany i osadzając konia przed dziewczyną, huknął:

— Wściekłaś się czy co? Czego u stu dyabłów uciekasz, jakby cię kto śpilką ukłuł? Milion set katów, o mało mi koń nie padł!

Dziewczyna tłomaczyła się jak mogła, że nie wiedziała co czyni, że ją skonfudowała pani Grzybowska; że bała się, by jej hajducy nie porwali i nie zawiedli do Wąsosza, że myślała, że ją gonią i tak dalej. Ledwie Bartek się uspokoił, ale markotny był i narzekał:

— Bodaj-to dyabli wszystko wzięli. Jakże my na takich zhasanych koniach, że ledwie dyszą, zajedziemy do Krzepic? Gdzież tu powaga i aparencya poselska! Ja zawżdy mówię, że u białych głów włosy długie a rozum krótki. Gonią ją! kto cię miał gonić? Jąk Boga kocham, człowiek w ostatnią wpada pasyę...

Tak gadał i sierdził się okrutnie i wymawiał Jagusi, która milczała, jeno od czasu do czasu rzucała z ukosa spojrzenie na Bartka. Ale i ten wkrótce uspokoił się, ile że pocałunki Jagusi ułagodziły go do reszty. Właśnie dobrze już nad wieczorem, bo słońce krwawo za lasy zachodziło, tak wolno owe poselstwo jechało, ujrzeli w tej purpurowej poświacie słonecznej wieże i baszty krzepickiego zamku.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# GŁÓWNIEJSZE OKAZY ROŚLINNEGO ŚWIATA.

II.

## Drzewo chlebowe.

Ze wszystkich artykułów żywności najpotrzebniejszy jest chleb, ale przysposobienie jego ileż ciężkiej wymaga pracy, począwszy od uprawy roli pod zasiew zboża, aż do wyjęcia bochenka chleba z pieca. W krajach z klimatem umiarkowanym trud łatwiej się da pokonać, ale w okolicach równika przysposobienie chleba z tak ciężkim wysiłkiem byłoby niepodobne, zważywszy upały człowieka ubezwładniające.

Opatrzność zaspokajając tę konieczną potrzebę, dała tam drzewo wydające chleb prawie gotowy. Jest niem drzewo chlebowe.

Drzewo chlebowe odkryte na wyspach Oceanu, zaliczone do gatunku drzew figowych odznacza się szczególną rozmaitością liści i kwiatów. Pierwsze bywają albo całe albo wycięte; drugie są małe niewykończone, brakuje im albo korony albo kielicha; mimo tego znajdują się bez wyjątku na tem samem drzewie, przyozdabiając szczególniej wierzchołki pojedyńczych gałęzi. Nie wszystkie jednak odcienia tych drzew nazwanych ogólnie *jaquier*, zalecają się przyspasabianiem żywności.

Niektóre z nich, jak naprzykład *jaquier heterophylle*, chociaż ma liście i kwiaty mniejsze od innych, ale owoc tak wielki, że pojedyńczy człowiek nie może go podźwignąć. Przytem odznacza się nieprzyjemnym smakiem, jest niestrawnym nawet po upieczeniu. Inny odcień znów nazywany *jaquier des Indes* służy do wyrabiania łodzi z jednego pnia, mających niekiedy do ośmdziesięciu stopni długości a dziewięć szerokości.

Owoce tego drzewa mają niekiedy 18 cali długości a 15 szerokości. Pożytek jednak z takowych jest wielce zagadkowy, przynajmniej nader różne są w tej mierze zdania podróżopisarzy: jedni przypisują im smak nader przyjemny, drudzy przeciwnie, odmawiają im wszelkich zalet, zaliczając do płodów nieużytecznych zupełnie.

Prawdziwe drzewa chlebowe posiadają pień prosty, niezbyt gruby, mający niekiedy czterdzieści stóp wysokości, co połączone jest zazwyczaj z pewnem jego skrzywieniem.

Wierzchołek tych drzew szeroki i zaokrąglony, rzuca cień mający zazwyczaj 30 stopni średnicy. Drzewo ich jest żółtawe, miękkie i lekkie, liście wielkie wycięte, zazwyczaj siedmioklapkowe, co stanowi główną oznakę drzew tego rodzaju. Dwojakiego rodzaju kwiaty znajdują się na jednych i tych samych gałęziach.

Właściwy im owoc jest kulisty, większy od złożonych razem dwóch pięści ludzkich, na zewnątrz chropowaty a linie nierówności tych przecinając się wzajemnie tworzą małe trójkąciki. Pod dosyć grubą skórą znajduje się miękisz, który w miesiącach poprzedzających dojrzenie jest biały, mączny i włókienkowaty; po dojrzeniu zaś zmienia kolor i spójność, stając się żółtawym, soczystym i galaretowanym. Na wyspie Otahiti najbardziej urodzajnej, owoce drzew chlebowych nie mają pestek; w innych miejscowościach Oceanii mniej uposażonych, posiadają kańczaste pestki, wielkości zwykłego kasztana.

Mieszkańcy wzmiankowanych wysp żywią się niemi jak my zwyczajnym chlebem, bez łożenia jakichkolwiek starań dla przysposobienia tego rodzaju płodów. Owoce chlebowego drzewa zrywane są po nabraniu koniecznej mączystości, co poznać można po kolorze skóry. Cała przyprawa zasadza się na pokrajaniu i upieczeniu ich na rozpalonych węglach. Między więcej ucywilizowanemi plemionami, czynność ta spełnia się w przyrządzonym umyślnie do tego celu piecu, w którym owoce pozostają aż do chwili zupełnego ich zczernienia. Następnie oskrobują się części spalone, po za któremi znajdujemy inne białe i miękkie, jak ośródek zwykłego chleba, ze smakiem podobnym do bułki, zrobionej z pszennej mąki, z dodatkiem miękiszu karczocha. Ponieważ trzeba jeść codziennie, a owoce chlebowego drzewa można zbierać tylko przez ośm miesięcy, na pozostałą więc trzecią część roku przysposabiają żywność w ten sposób, że mieszkańcy wysp zrywają owoce w chwili ich obfitości i na te nalawszy wody, później poddają fermentacyi. Przysposobione w ten sposób ciasto, po upieczeniu służy im za pokarm przez czas, w którym zbywa na świeżych owocach.

Sprawozdania czynione przez niektórych podróżopisarzy, zachęciły kolonistów angielskich, mieszkających w Ameryce, do uprawy chlebowego drzewa.

Dla sprowadzenia płonek, wysłany został w roku 1787 porucznik Bligh, który później został admirałem.

Po dziesięciu miesiącach podróży przybył nareszcie do wyspy Otahiti, gdzie przyjęty jak najlepiej przez mieszkańców, zabrał z sobą 1,200 płonek, które z łatwością dały się zaaklimatyzować w południowych stronach Ameryki.

Trudniejsza była sprawa z Murzynami, przyzwyczajonymi do jedzenia bananów; nie chcieli zmieniać pożywienia, ale jako niewolnicy zmuszeni zostali uledz woli swych panów.

Starcy w Otahiti przypisują chlebowemu drzewu cudowny początek. W czasie wielkiego głodu, ojciec licznej rodziny rzekł do otaczającej go dziatwy:

— Zakopcie mnie tu w tem miejscu i przyjdźcie nazajutrz a znajdziecie środek do zaspokojenia dręczącego was głodu.

Dzieci uczyniły zadosyć woli ich życiodawcy, a skoro w następnym dniu przyszły na wiadome im miejsce, dostrzegły z zadziwieniem wielkie drzewo, dotychczas nieznane im zupełnie. W krótkim przeciągu czasu ciało ich ojca uległo zupełnemu przeobrażeniu: palce u nóg przedłużyły się znacznie, tworząc korzenie, silnie zbudowany korpus ciała zamienił się na pień drzewa, ramiona na gałęzie, a ręce na liście; głowa nareszcie dała początek smacznemu i pożywnemu owocowi, zdolnemu zaspokoić głód najbardzie dokuczający.

*K. G.*

# WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Karzełki.** „Kuryery" zapowiadają, że jakiś przedsiębiorca zamierza przybyć do Warszawy w celu pokazywania, za opłatą naturalnie, dwojga karłów, najmniejszych ze wszystkich znanych dotychczas.

Jest-to para małżonków Mike, pan mąż nie mający nawet dwóch stóp wzrostu i liczący 22 lat wieku, nosi tytuł generała; pani generałowa jest o parę lat młodsza.

Karzełki mają być bardzo inteligentne i mówią językiem francuzkim i angielskim.

*** **Chrystus przed Piłatem.** Przyznać należy, że nasze Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych stara się wszelkiemi sposobami o zaopatrzenie wystawy w znakomite dzieła sztuki. Nie poprzestając na pracach artystów swojskich sprowadza ono arcydzieła zagraniczne, czem zasługuje się oczywiście względom publiczności, pozwalając jej za niewielką opłatą podziwiać oryginalne prace mistrzów sztuki plastycznej.

Obecnie Warszawianie przypatrywać się mogą znakomitemu obrazowi Munkaczyego „Chrystus przed Piłatem".

Sprawozdawca „Tygodnika" z dziedziny sztuk pięknych, zapozna bliżej czytelników z zaletami tego wspaniałego płótna, którego pojawienie się w Salonie wystawy, na kartkach kroniki niniejszej notujemy z przyjemnością.

*** **Granaty Hardena.** Na pustym placu, przy ulicy Hortensya, odbyła się próba gaszenia ognia za pomocą tak zwanych „granatów Hardena". Są to butelki kulistego kształtu, napełnione płynem, który przy zetknięciu się z ogniem zamienia się na gaz tłumiący płomienie.

Próba wypadła dość pomyślnie. Naturalnie o gaszeniu tym sposobem płomieni, ogarniających już cały budynek nie ma co mówić, ale gdy idzie o przytłumienie pożaru w zarodku, zwłaszcza w miejscu zamkniętem, granaty Hardena mogą być bardzo pożyteczne i praktyczne.

Mają one przytem tę wadę, że są bardzo drogie, jak wszystkie w ogóle wynalazki i... figle zamorskie.

*** **Co nam post przyniesie?** Dla Warszawian, którzy używali wszelkich uciech karnawałowych, post będzie wypoczynkiem urozmaiconym przez przyjemność nieco poważniejszej natury. Oprócz powodzi koncertów, dla których sezon obecny jest najodpowiedniejszym, zapowiadają cały szereg odczytów. Goszczący w Warszawie krytyk duński, p. Brandes, wypowie nam swoje poglądy na literaturę polską (znaną mu jedynie z przekładów), zaś pan Janikowski towarzysz Rogozińskiego, z wyprawy do Kamerunu, przedstawi w dwóch odczytach historyę tej ekspedycyi, a zarazem skreśli żywem słowem obraz stosunków i zwyczajów panujących w tej części Afryki, którą świeżo nasi rodacy zbadali.

Prócz wymienionych powyżej, będą jeszcze inne odczyty z dziedziny literatury, sztuki, nauk przyrodzonych i życia społecznego, lecz o tem obszerniej powiemy w następnej kronice.

*** **Stała wystawa szkiców.** Powodzenie jakiego doznała Wystawa szkiców, urządzona przed świętami Bożego Narodzenia, zachęciła niektórych malarzy tutejszych do urządzenia wystawy stałej, na której publiczność nasza będzie miała sposobność nabywania rysunków, akwarel i mniejszych obrazków olejnych po cenach przystępnych nawet dla ludzi średniej zamożności.

Wyborna myśl zaprawdę.

Publiczność nasza, a zwłaszcza inteligentna jej sfera, ma zamiłowanie do sztuki i niejeden radby ozdobić salonik oryginalną pracą swojskiego artysty, gdyby tylko cena dzieła była przystępną.

Z tego też względu projektowana wystawa może liczyć na powodzenie zupełne.

*** **Z prowincyi** nie wesołe dochodzą nas wieści. Obfite śniegi leżące na polach, zagrażają klęską powodzi, to też na wałach i tamach ludność przysposabia odpowiednie materyały do naprawy ewentualnych uszkodzeń. Materyał wybuchowy do rozsadzania spodziewanych zatorów lodowych już przygotowano, a żołnierze artyleryi odkomenderowani do tej czynności, są już rozlokowani w odpowiednich miejscowościach nadbrzeżnych.

Tak więc wylew aczkolwiek może być bardzo groźny, napotka jednak pewien opór.

Gorzej jest z przezimowaniem inwentarza. Brak siana i słomy już się daje uczuwać nader dotkliwie, gospodarze wyprzedawać muszą swoją chudobę, a spekulanci i handlarze, korzystając z tego obniżają cenę bydła do niemożliwych granic.

Jeżeli taki stan atmosfery jak obecny potrwa dłużej (co uporczywie przepowiadają pessymiści), to rolnictwo krajowe ponieść może dotkliwą klęskę.

*** **Nowa szkoła rzemiosł.** Staraniem kilku pań interesujących się szczerze losem biedaków, otwartą będzie w Warszawie bezpłatna szkoła dla ubogich dziewcząt, bez różnicy wyznań. W szkole tej prowadzoną ma być nauka szewctwa damskiego, koszykarstwa, tapicerstwa, retuszowania i wielu innych zajęć, dostępnych dla kobiet.

Potrzeba tego rodzaju zakładu, dawno daje się uczuć, nadmierna ilość szwaczek, haftarek i kwiaciarek jest spowodowaną trudnościami, jakie spotyka dziewczyna niezamożna, chcąc się jakiego rzemiosła wyuczyć. Innej drogi nie mając, każda z nich bierze to co wziąć można i powiększa liczbę pracownic pozbawionych roboty, podczas gdy tapicerstwo, koszykarstwo i t. p. mniej wyzyskane, przedstawiają lepsze szanse.

Wszystkie te specyalności, oraz wiele innych, wykładane są w szkołach rzemiosł, tam jednak bez pieniędzy kołatać nie ma sposobu; przewodniczki tych szkół osoby niezamożne, pracujące dla chleba, małą tylko cząstkę uczenic mogą przyjmować darmo, a chociaż pod tym względem ofiarność swoją posuwają do ostatnich granic, kropla w morzu ginąca, jest tylko kroplą, której nie znać.

Szkoła bezpłatna, filantropijna, może przynieść bardziej widoczne korzyści i pewna grupa biednych dziewcząt znalazłszy tam corocznie drogę do pracy, utworzy z czasem poważną cyfrę pracownic, kandydatek do różnych warsztatów, nie zaś jak dotąd przeważnie szwaczek. I los tych ostatnich może polepszy się nieco, nie będą przerzucane jak piłki, zamęczane, głodzone, ponieważ jest w czem wybierać, zyskają w cenie, gdy zmniejszy się ich liczba. Zaznaczyć wypada, że po za rękodzielniczem wykształceniem, wykładaną będzie buchalterya, rysunki elementarne i wiadomości z innych nauk.

# WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Jubileusz kapłański Leona XIII.** Papież Leon XIII obchodzić będzie w roku przyszłym pięćdziesięcioletni jubileusz kapłaństwa. Z tego powodu w całym świecie katolickim czynią przygotowania do obchodu tej uroczystości.

W Rzymie powstał specyalny ad hoc komitet, który powziął myśl, ażeby ku uczczeniu jubileuszu urządzić w Watykanie, międzynarodową wystawę dzieł sztuki chrześciańskiej.

Zważywszy, że w każdym niemal kraju znajduje się znaczna ilość arcydzieł tego rodzaju, że najpiękniejsze rzeźby, obrazy, najwykwintniejsze wyroby złotnicze, makaty i t. p., tworzone były dla ozdoby świątyń; można przypuszczać, że projektowana wystawa będzie w całem znaczeniu tego wyrazu świetną i wspaniałą.

*** **Armata olbrzym.** W zakładach słynnego Kruppa w Essen, generalnego dostawcy morderczych narzędzi dla całej Europy, wykonano dla rządu włoskiego armatkę, mającą 14 metrów długości i 40 centymetrów średnicy w świetle.

Do nabicia tej zabawki potrzeba 500 kilogramów (bez mała blisko 1000 funtów prochu), a granacik, który ona ze swej paszczy wyrzuca, waży tylko 1000 kilogramów.

Armatę przewieziono na specyalnie przygotowanych na ten cel wagonach.

W wieku XIX szczycącym się swą cywilizacyą, taka maszyna do hurtownego zabijania ludzi, byłaby anomalią, na szczęście filozofia Hartmana usprawiedliwia jej istnienie.

*** **Polacy w Londynie.** Wśród kilku milionowej ludności stolicy Albionu, mieszka, jak wykazują statystycy angielscy, około 2,000 Polaków. Są to przeważnie rzemieślnicy, wyrobnicy i drobni procederzyści. Do tej liczby przybyło obecnie kilkanaście rodzin z Poznańskiego, dotkniętych edyktem banicyjnym, tem arcydziełem tryumfującej polityki żelaznego księcia.

*** **Pożar teatru we Lwowie.** Telegram przyniósł alarmującą wieść o spaleniu się teatru lwowskiego. Na szczęście wiadomość była znacznie przesadzona, późniejsze depesze i listy ze Lwowa wyjaśniły że ogień uszkodził tylko dach i trzecie piętro.

Znaczne straty ponieśli artyści zamieszkali w gmachu teatralnym.

*** **Pomysł naszego rodaka.** Największem w świecie przedsiębiorstwem telegraficznem jest telegraf podmorski, mający połączyć Kadyks z przylądkiem Dobrej Nadziei.

Długość jego wyniesie 9,000 mil podmorskich, to jest trzy razy więcej niż długość linii łączącej Europę i Amerykę.

Pierwsza sekcya tego podmorskiego telegrafu, między Kadyksem a wyspami Kanaryjskiemi, funkcyonuje od lat dwóch, zaś z wysp Kanaryjskich do Senegalu od roku.

Obecnie, przed miesiącem, przewieziono już druty dla trzeciej sekcyi, z Senegalu do Sierra Leone.

Inicyatorem olbrzymiego przedsiębierstwa jest rodak nasz p. Tadeusz Orzechowski, o czem angielskie pisma, acz nie bardzo chętnie, wspominają jednak nawiasem.

*** **Dla gospodyń.** Panowie Ront i Honde zawiadomili francuzką akademię nauk, że ze starych grzybów, gatunków znanych powszechnie i do jedzenia używanych, wydobyli cztery alkaloidy, które zastrzykiwane pod skórę świnek morskich, przyprawiły te zwierzątka o śmierć. Czasopismo „Revue d'Horticulture" dodaje przytem, że można się otruć pieczarkami staremi, a skoro grzyby wytworzą zarodniki (drobny proszek z pod kapelusza wysypujący się), uważać je należy za podejrzane.

Notujemy tę wiadomość dla przestrogi gospodyń, gdyż na przyszłość zdać się może.

*** **Sto milionów.** Jeden z księgarzy londyńskich wydał starannie opracowany katalog wszystkich osób, na które przypadają niepodniesione dotąd spadki. W Anglii nie ma prawa, na mocy którego, po pewnym czasie, rząd mógłby zabrać pieniądze, po które nikt się nie zgłosił. Z tego powodu spoczywają w kasach skarbu ogromne sumy, procentujące się ciągle i czekające na spadkobierców. Przeszło sto milionów funtów szterlingów takich pieniędzy leży dotąd bez użytku.

Kto wie, może i w naszym kraju znalazłby się niejeden spadkobierca nieznanego lub zapomnianego wujaszka, który umarł i pieniądze zostawił.

W każdym razie księgarz przysłużył się niedoszłym bogaczom wydaniem katalogu.

## ROZMAITOŚCI.

### Wypadek na kolei.

Donoszą z Monte Carlo:

Mieszkańcy tutejsi i liczni cudzoziemcy przebywający w tej chwili w Monaco, stali się dziś świadkami strasznego wypadku, jaki się zdarzył na linii kolei żelaznej, pomiędzy Monte-Carlo a Mentoną.

Pociąg nr. 483 wyruszył z Nicei o godzinie 3 min. 50, a pociąg nr. 502 z Mentony, oba te pociągi spotkały się pomiędzy Cabbé Roquebrunne i Monte-Carlo, o dwa kilometry od tej ostatniej stacyi; pociągi leciały całą siłą pary, stąd powstało przerażające uderzenie, które wywołało w promieniu kilku kilometrów wrażenie huku działowego. Okropniejszego widoku chyba nikt dotąd nie widział.

Spotkanie się pociągów nastąpiło na jednej, jedynej tu linii szyn, przytem na skręcie i w miejscu gdzie bezpośrednio za skałą następuje przepaść. Po tem strasznem zetknięciu się, nastąpiło zmiażdżenie, o jakiem trudno mieć pojęcie.

Lokomotywy po prostu wcisnęły się jedna w drugą.

Wagony wspięły się jedne na drugich i pomiażdżyły się wzajemnie z taką gwałtownością, że tak powiem, pozostały z nich tylko drzazgi. Jeden wagon klasy pierwszej, jeden drugiej i jeden trzeciej; trzy wagony wspięte po nad wierzch, wpadły w morze z wysokości 75 metrów. Znaleziono je rozbite na drobne kawałki, wagony które pozostały na szynach, tworzą istną górę odłamów nieforemnych. Wzdłuż poręczy nad przepaścią, zwieszają się koła wagonów, drzwiczki, bufory, łańcuchy; z przepaści wyciągnięto trupa Ferrara Giovani'ego i kilku ranionych.

Fakt nie do uwierzenia. Jeden podróżny spadły z toru w morze, przypłacił tylko złamaniem ramienia. Trzynastoletnie dziecko w tych samych okolicznościach złamało obie ręce.

Zamiast troszczyć się o siebie, dziecko biegało wołając:

— Papa! papa!

Ale ojciec jego mniej szczęśliwy, był już trupem.

Na wieść o wypadku, administracya kąpieli morskich niezwłocznie wysłała na miejsce katastrofy cały swój personel, do którego przyłączyli się pompierzy.

Dyrektor administracyi kąpieli wysłał natychmiast przybory ratunkowe, należące do kasyna. Pospieszyli też gwardziści księcia, żandarmi i miejscowa policya.

Każdy dawał dowody odwagi i poświęcenia, począwszy od prefekta departamentu Alp nadmorskich, który przypadkiem znajdował się w Monaco; przybyło też kilku lekarzy.

Właściciele hotelu paryzkiego nie omieszkali również podążyć na miejsce wypadku i kazali przewieść do „Hôtel de Paris" ranionych, w miarę wydobywania z pod gruzów.

W tej chwili salony, skrzydła tego hotelu zamienione zostały na czasowy ambulans; w liczbie znajdujących się już tam ranionych, są panie Tessayer, żona i córka dawnego redaktora „Liberté".

Jedno dziecko podczas przenoszenia zmarło. Jeden podróżny kona. Cała jedna rodzina matka, córka, zięć i wnuczka niebezpiecznie poranieni. Matce uciętą będzie noga.

Wśród ranionych znajduje się wdowa Beck i zarządzający alzacką tawerną w Monaco.

W nocy przy świetle pochodni, pracują nad oczyszczeniem drogi i usiłują ocalić mechanika, którego żelaztwa i odłamy drzewa trzymają jak w kleszczach.

Ratunek rzeczywiście przedstawia niesłychane trudności i przypuszczać można śmiało, że liczba ofiar dosięgnie niestety kilkudziesięciu.

A teraz kto jest winowajcą tej katastrofy?

Pociągi miały się skrzyżować w Cabé-Roquebrunne, tym czasem puszczono jeden z nich na tor, który nie był wolny.

Naczelnik stacyi Cabé-Roquebrunne, którego nieostrożność stała się powodem nieszczęścia, znikł bez śladu. Jest przypuszczenie, iż odebrał sobie życie, gdyż odzież jego znaleziono na wybrzeżu.

W kwietniu r. b. ma się rozpocząć wydawnictwo nowego pisma tygodniowego p. t. **„Gazeta Pszczelnicza"**, pod redakcyą ks. Juljana Jakubowskiego.

Cel pisma: nauką pszczelnictwa dopomagać właścicielom pszczół do racyonalnej hodowli onych w rozmaitych ulach, oraz do osiągnięcia z pasiek *największych zysków najmniejszym kosztem*. Według programu Gazeta pomieszczać będzie:

1. Artykuły oryginalne i tłomaczone.
2. Opisanie miododajnych roślin i uprawa onych.
3. Wiadomości o czynności towarzystw pszczelniczych.
4. Różne uwagi i praktyczne rady dla hodowców pszczół.
5. Korespondencye.
6. Pytania i odpowiedzi.
7. Ogłoszenia.
8. Rysunki.

Udzielanie na żądanie rad w kwestyach dotyczących pszczelnictwa.

Sz. ks. Biernacki, profesor lwowskiego uniwersytetu D-r Ciesielski, p. Grabowski i inni znani z prac naukowych na tem polu, zaproszeni są na współpracowników „Gazety Pszczelniczej" najtańszej ze wszystkich pism wychodzących w Królestwie Polskiem, cena której wraz z przesyłką: rocznie 2 rs. 50 kop.

Chcących prenumerować „Gazetę Pszczelniczą" uprasza się na teraz tylko o wczesne przysłanie swego adresu do księgarni C. Wilanowskiego, w Warszawie Bracka Nr 11.

W pierwszym numerze „Gazety Pszczelniczej", wskazaną będzie sz. prenumeratorom Redakcya onej, do której łaskawie raczą nadesłać przypadającą prenumeratę po odebraniu trzeciego numeru gazety.

O poparcie „Gazety Pszczelniczej" pracą, braci pszczelarzy uprasza się.



☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Марта 1886 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

**Dodatek.**



Ubrania wieczorowe i wizytowe.

N. 1. Suknia z przybraniem koronkowem. Patrz r. 3. N. 2. Suknia z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 23. N. 3. Suknia z przybraniem koronkowem. Patrz ryc. 1. N. 4. Suknia z kaftanikowem przybraniem. Patrz ryc. 27. N. 5. Suknia ze stanikiem do paska.

## Opis do N. 12.

(*Dokończenie.*)

**N. 5. Suknia ze stanikiem do paska.**

Ma spódnicę à la paysanne, z tyłu bardzo suto fałdowaną, z przodu gładką i tylko z lewego boku podpiętą. Jak to widać na ryc. 5, bok lewy jest przecięty i związywany kokardami, z pod których wygląda plisowanie. Stanik do paska ma przody skośno zapięte pod fałdami, na które dodaje się materyał przy krajaniu; podłużny wykrój szyi dopełnia szmizetka krepowa. Zwierzchnie części rękawów krają się dłużej na fałdy ułożone w górze.



N. 6. Ubranie dla chłopczyka lat 4—6.

N. 7. Sukienka z paletocikowym stanikiem dla panienki lat 9—11.

N. 8. Sukieneczka z długim stanikiem dla dziewczynki lat 4—6.

**N. 6. Ubranie dla chłopczyka lat 4—6.**

Majteczki zapinane z boku poniżej kolan na sprzączki i guziki, w górze przyszyte do staniczka spodniego i z boków zapięte. Żakietka ma przody zapięte skośnie na guziki i obciśnięta jest paskiem z pletni wełnianej 6 cent. szerokiej, zapiętym na klamrę metalową.

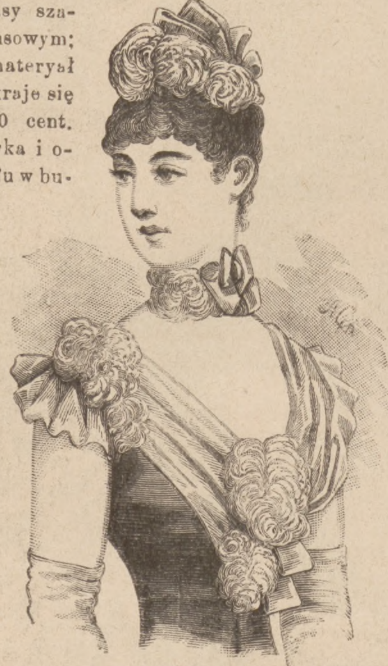
**N. 7. Sukienka z paletocikowym stanikiem, dla panienki lat 9—11.**

Pasy ażurowej torsadki i szlaki haftowane włóczką i perełkami zdobią sukienkę z gładkiego wełnianego materyału; spódniczka z tyłu i z boków układana w płaskie fałdy.

Stanik paletocikowy wcięty z tyłu, ma wolne przody szeroko otwarte i odsłaniające bufiastą kamizelkę, zapiętą z boku na kryte haftki.

N. 8. Ubranie dla dziewczynki lat 4—6.

Spódniczkę 35 c. długą, przykrywa wolant w pasy szafirowe z ponsowym; na staniku materyał zwierzchni kraje się dłużej o 10 cent. niż podszewka i opuszcza u dołu w bu-



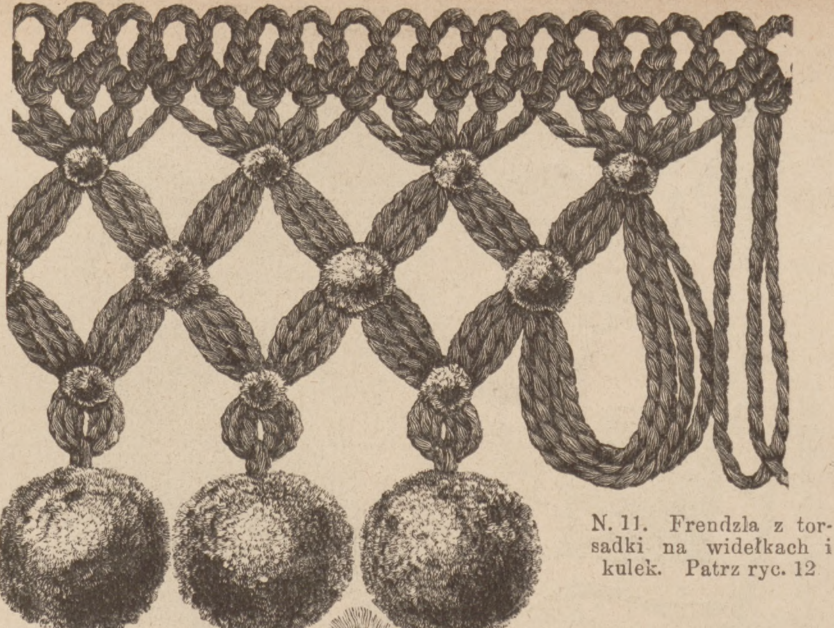
N. 9. Ubranie z piór do sukni balowej i do głowy.

fę zachodzącą na spódniczkę. Przody zapinają się na 2 rzędy guzików, a do podłużnego wykroju szyi wszyty kołnierz marynarski z ranwersami, z pod którego wygląda kamizelka z materyału w pasy wziętego poprzecznie.

N. 10 i 21-22. Kaftanik włóczkowy (zuawka). Robota na drutach. Materyał: włóczka czarna angielska, trochę włóczki piaskowej.

Kaftaniczek ten odpowiedni na szczupłą figurę, robi się prostym sposobem na drutach rzędami tam i napowrot, przyczem pierwsze oczko każdego rzędu zdejmuje się nie przerabiając. Robotę zaczyna się od lewego ramienia na 36 o. i przerabia 73 rzędy; w rzędzie 74 po przerobieniu 36 o. dorabia się oczek początkowych drugie tyle (do 72 oczek) i robi lewą połowę przodów, którą zakończa się po zrobieniu pachy. Plecy liczą 70 rzędów; przy rzędzie 71 zarabia się 36 o., a na reszcie o. przerabia 73 rzędy na prawą połowę przodów, nakoniec robi się ramię i zakończa od spodu.

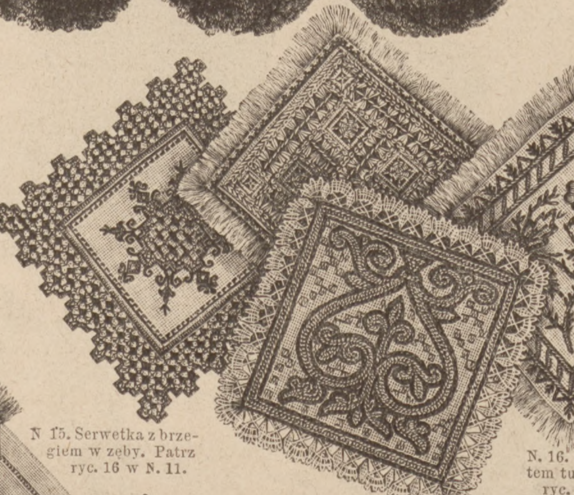
Pikoty brzeżne z włóczki piaskowej dodaję się szydełkiem podług ryc. 22.



N. 11. Frendzla z torsadki na widełkach i kulek. Patrz ryc. 12



N. 10. Kaftanik włóczkowy robiony na drutach. Patrz ryc. 21—22.

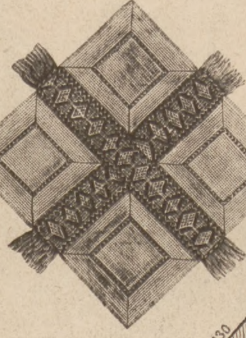


N. 15. Serwetka z brzegiem w zęby. Patrz ryc. 16 w N. 11.

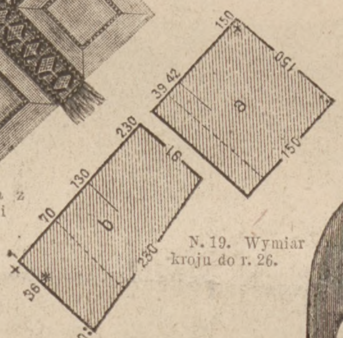
N. 16. Serwetka z haftem tureckim. Patrz ryc. 17 w N. 11.

N. 17. Serwetka z kratką ażurową.

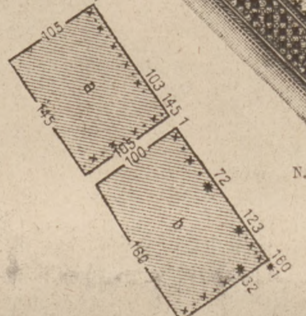
N. 18. Serwetka huftowana.



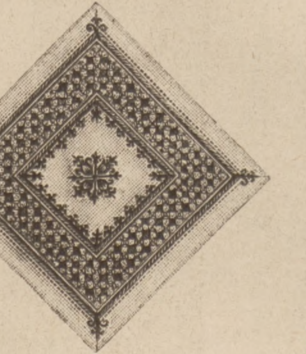
N. 13. Serwetka z pasami wszywki robionej na widełkach.



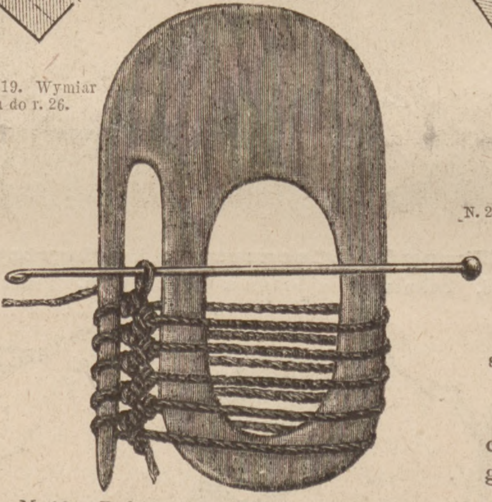
N. 19. Wymiar kroju do r. 26.



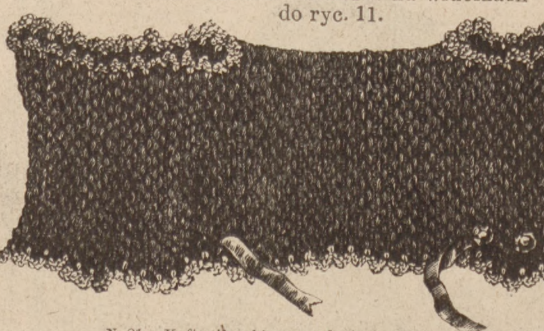
N. 20. Wymiar kroju do ryc. 24.



N. 14. Serwetka z kratką ażurową z haftem.



N. 12. Robota torsadki na widełkach do ryc. 11.



N. 21. Kaftanik robiony na drutach. Patrz ryc. 10 i 22.



N. 23. Suknia z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 2.

N. 13—15. Serwetki zdobne kratką ażurową, torsadką i haftem. Patrz ryc. 16—17 w N. 11.

Tło serwetek liczy 20—25 cent. w kwadrat, lecz można je powiększyć dając z brzegów szerszy obręb, koronkę lub frendzlę wysiepaną.

N. 13. Serwetka z wszywką z torsadki na widełkach.

Cztery kwadraty płócienne równej wielkości obrębiają się wokoło brzegów i zdobią kratką ażurową; połączenie stanowią dwa skrzyżowane kawałki torsadki robotą na widełkach, do której wzory podajemy w Tyg. Mód.

N. 14. Serwetka z kratką ażurową i haftem. Patrz ryc. 16 w N. 11.

Ryc. 16 w N. 11 przedstawia w naturalnej wielkości część szlaku z kratki ażurowej, na którą trzeba wzdłuż i wszerz wyciągać po 5 nitek, w odstępach również 5 nitkowych; wiązanie daje się nitką białą ściegiem zwanym point d'esprit, zaś muszki rzucone w odstępach między kratkami dają się bawełną tego koloru co haft płaski w szlaku poza kratką.

N. 15. Serwetka ze szlakiem w zęby.

Tem tylko różni się od poprzednio opisanej, że szlak z kratki ażurowej nie jest prosty, lecz dany z brzegów w zęby, obrobione dzierganiem. Rozeta zdobiąca tło ma środek z kratki ażurowej, a ramkę wyhaftowaną ściegiem płaskim bawełną niebieską w dwóch cieniach.

N. 16. Serwetka z haftem tureckim. Patrz ryc. 17 w N. 11. Deseń damy na arkuszu z krojami do N. 14 i 15.

Odrobiona filozelą niebieską w 3 cieniach, ma na środku wyhaftowaną gałązkę, której deseń zamieszczony będzie na dodatku do N. 14 i 15 Tyg. M. Szlak tworzący ramę brzeżną przedstawia w naturalnej wielkości ryc. 17 w N. 11.

N. 28. Zakładka do książki.

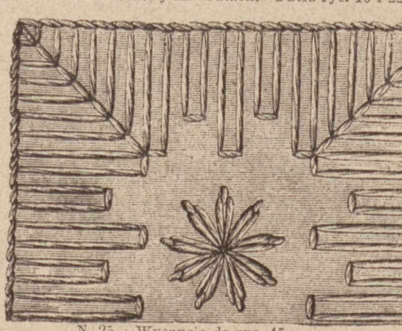
Przy osadzie stalowej 6 c. długiej, 1 c. szerokiej, przyczepione są 4 kawałki wstążki kolorowej jedwabnej, po 56 c. długie, zakończone u dołu złotemi grelotkami.



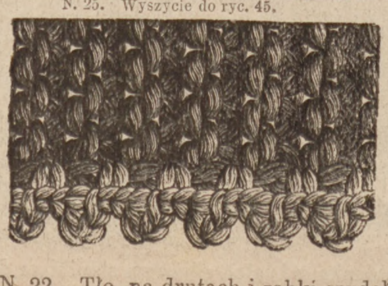
N. 27. Suknia z kaftanikowem przybraniem. Patrz ryc. 4.



N. 24. Plecy do r. 3 w N. 11.



N. 25. Wyszycie do ryc. 45.



N. 22. Tło na drutach i ząbki szydełkowe do ryc. 10 i 21.



N. 26. Plecy do r. 47 w N. 11.

N. 29. Ubranko wizytowe.

Podstawę stanowi półokrągły kawałek sztywnego tiulu, w środku 8 c. szeroki, 31 cent. długi, oszyty z brzegu 6 cent. szeroką wstążką zielonawą (chartreuse) spuszczoną z tyłu w dwa



N. 28. Zakładka do książki.



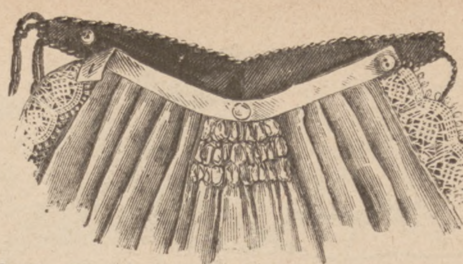
N. 29. Ubranko.



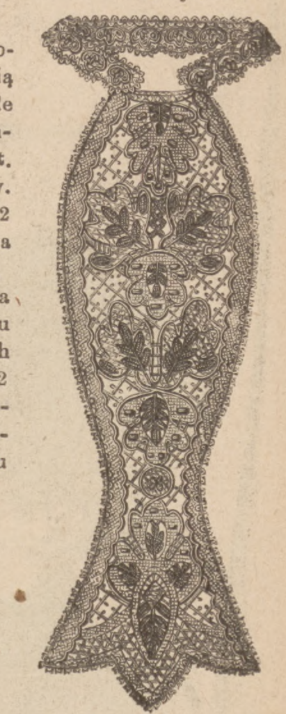
N. 30. Spódniczka morowa.

N. 31. Spódniczka flanelowa ze szlakiem.

N. 32. Spódniczka pluszowa z koronką.

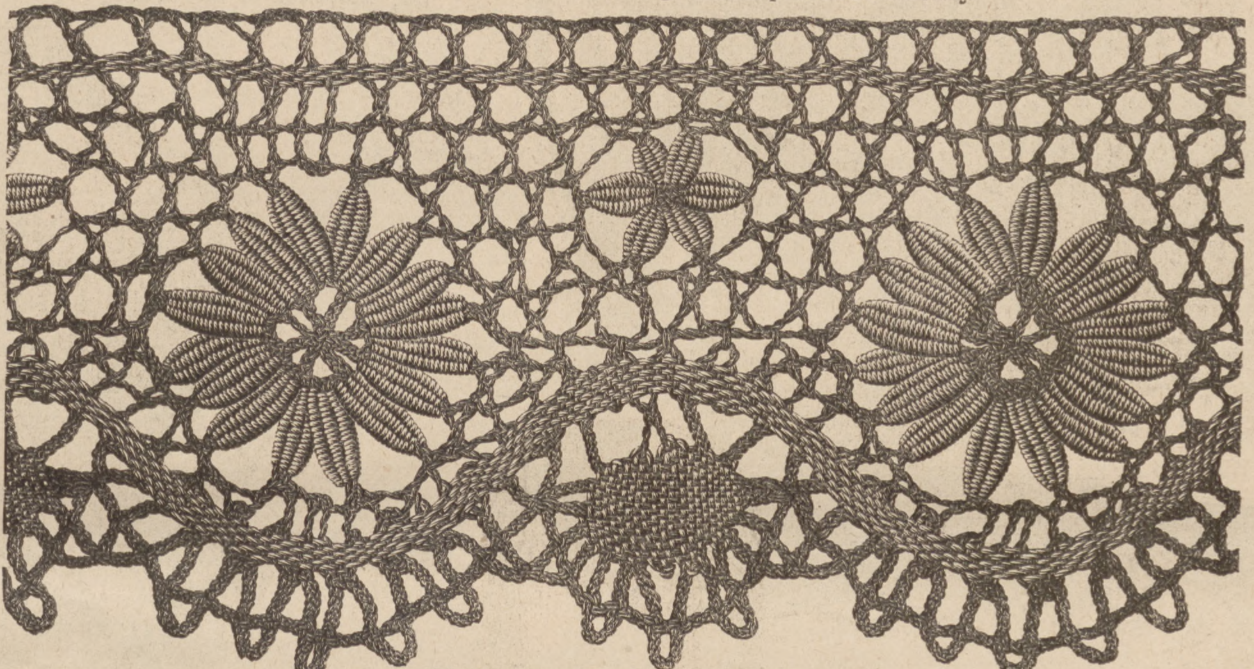


N. 38. Przypięcie paska do fartuszka ryc. 39.



N. 34. Kamizelka koronkowa.

końce po 32 c. długie, wycięte w głęboki ząb u dołu. Przy brzegu przednim zwierzchu dana koronka zielona 7 c. szeroka, 76 cent. długa, na środku wysunięta 4 c., z boków o $1/2$ c. za podstawę. Bukiet kwiatów różowych i ciemno ponsowych z zielonemi liśćmi zajmuje środek ubranka i podgarnirowany jest koronką 6 cent. szeroką, 200 cent. długą, zszytą brzegami do środka i przymarszczoną do 28 c. długości. Brzegi koronki z tyłu przyczepiają się niewidocznie do wstążki.



N. 33. Koronka robiona na klockach.

N. 30. Spódniczka morowa.

Uszyta z prostych brytów po 62 cent. szerokich, z których dwa przednie liczą po 96 cent. długości, a trzeci tylny jest tylko 44 cent. długi i dopełniony wolantem ułożonym w kontrafałdy, 124 cent. szerokim. Dolny brzeg spódnicy objęty plisą aksamitną 8 c. szeroką.

N. 31. Spódniczka pluszowa z koronką.

Spódniczka z pluszu koloru chartreuse z tyłu 57, z przodu 49 cent. długa, podszyta różową materyą, dopełniona jest na długość plisowaną falbaną z różowej materyi, 29 c. szeroką, przykrytą zwierzchu wolantem z białej koronki, 34 cent. szerokim. Przyszycie falbany przykrywa bufa tiulowa, nawleczona wstążką 3 cent. szeroką, związaną z boku w kokardę.



N. 35. Stanik z baskiną.

N. 32 i 36. Spódniczka flanelowa.

Uszyta z cienkiej różowej flanelki, liczy 60 cent. długości a 120 szerokości i ozdobiona jest szlakiem, wyszytym jedwabiem podług ryc. 36; brzeg dolny obrąbiony 5 c. szeroko, oszyty frendzlą z kulek.

N. 33. Koronka robiona na klockach.

Napięcie deseniu (35 klocków) daliśmy na arkuszu z krojami do N. 9 i 10 na fig. 28—28a.

Ryc. 33 przedstawia w zmniejszeniu koronkę z grubych kolorowych nici, odpowiednią do firanek z kanwy če congrès, do serwet z kanwy Aida lub Jawa, lub t. p. grubych materyałów. Koronka ta robi się w 2 częściach złączonych na szerokość niewidocznie, których deseń daliśmy na fig. 28 i 28a na dodatku z krojami do poprzednich numerów. Robiąc te 2 połowy jednakowo, możemy mieć wszywkę o brzegach prostych, lub z obu stron zakończoną w zęby.

N. 34. Kamizelka koronkowa.

Stanowi gustowne dopełnienie wizytowego ubrania i odrobiona jest z nicianej gipiurowej koronki; długość kamizelki wynosi 48 cent., szerokość w górze 16, w pasie 8 c. Kołnierzyk stojący lub wykładany robi się oddzielnie.



N. 37. Haft srebrem jako oprawa na książkę.

N. 35. Stanik z baskiną.

Zapięty na kryte haftki, ma z przodu wstawiony rodzaj plisowanej kamizelki, u góry tworzącej rodzaj karoczka, a do dołu zwężającej się stopniowo. Grelotki z perełek gęsto naszyte stanowią efektowne przybranie; rękawy oszyte odpowiednio.



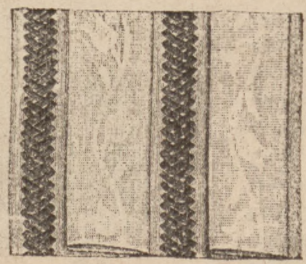
N. 39. Fartuszek z bawełnianym paskiem. Patrz r. 38 i 40.

N. 38 — 40. Fartuszek z aksamitnym paskiem.

Liczy 60 cent. długości i 93 cent. szerokości, brzegi boczne założone są w trzy fałdy po 1 cent. głębokie, między któremi wyszyty szlaczek bawełną ponsową, podług ryc. 40. Środek fartuszka między fałdami przemarszczony jest w górze do 5 cent., a o 1 c. niżej przemarszczony trzykrotnie do 6, 7 i 8 cent. szerokości. Fartuszek wszyty w wąski pasek z 3 obrobionemi dziurkami, przypina się podług ryc. 38 do aksamitnego paska formą bawełnową, w środku 9, w końcach 2 c. szerokiego,



N. 36. Szlak do ryc. 30.



N. 40. Wyszycie i zakładki do ryc. 39.



N. 41. Czapeczka turecka. Patrz ryc. 23 w N. 11.

N. 42. Czapeczka płaska z rzemykiem.

N. 43. Kapelusik dla dziewczynki.



N. 45. Pudełko do rękawiczek. Patrz ryc. 46 i 25.

poddanego podszewką i oszytego wokoło brzegów sznurem, związanym na kokardę. Koronka otaczająca fartuszek liczy 8 cent. szerokości.

### N. 44. Ubranie balowe.

Biała gazowa suknia na jedwabnej podszewce, ma stanik bawetowy, sznurowany z tyłu, ułożony w płaskie fałdy wzdłuż przodów. Krótkie bufiaste rękawy, związane wstążką. Wykrój stanika ogarnirowany koronką układaną wachlarzowo; bukiety z bardzo bladych różowych róż, przybrane puklami z różowej wstążki. Wachlarz z piór i róż.

### N. 45—46 i 25. Pudełko do rękawiczek.

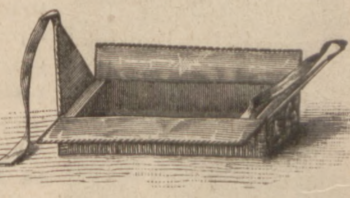
Liczy $5^1/_2$ cent. wysokości, 28 cent. długości a 11 szerokości i odpowiednio do tego wymiaru kraje się wszystkie części pudełka z grubej tektury, t. j. dno, 4 ścianki boczne i 2 zwierzchnie po $8^1/_2$ cent. szerokie. Krótkie ścianki boczne mają dodane klapki szpiczasto ścięte, związywane na środku kokardą z atłasowej wstążki. Pokrycie pudełka stanowi kolorowy atłas, na stronie wewnętrznej podłożony pachnącą watą, na wierzchu pudełka ozdobiony wyszyciem różową filozelą, ściegiem dzierganym różnej długości i ściegiem luźnym na gwiazdki, jak to wskazuje ryc. 25. Ażeby podłużne zwierzchnie klapki nie zapadały się do środka; przyszywa się wewnątrz pudełka kawałki wstążki, przy ściankach poprzecznych, widoczne na ryc. 46.

### N. 47. Kapotka tiulowa wyszyta perełkami.

Fasonik kapotki pokryty był czarnym tiulem, wyszywanym czarnemi świecącemi perełkami; rondko z przodu 8, z tyłu 3 c. szerokie, dane z większych perełek, nawleczonych na druciki,



N. 44. Ubranie balowe.



N. 46. Pudełko do rękawiczek otwarte. Patrz ryc. 45.

podszyte sutą riuszą z różowego tiulu. Wielka kokarda podpinająca z przodu rondko, ułożona na oddzielnej podstawie jest z różowej atłasowej wstązki, 6 cent. szerokiej, układanej w wysokie pukle. Koronka chantilly i kitka z piórek ptaka rajskiego dopełnia przybrania.

### N. 48. Kapotka koronkowa dla starszej osoby.

Fasonik ze sztywnego tiulu ma główkę pokrytą czarną fałdowaną koronką; takaż koronka suto namarszczona dana wierzchem rondka, z przodu podnosi się dyademowo, z boków przysłonięta jest torsadką z perełek, 4 cent. szeroką. Bukiet róż herbacianych i szpilki dżetowe dodane podług ryc. 48; brydy koronkowe związane pod brodą.



Kapelusze wiosenne.

N. 47. Kapotka wyszyta perełkami. N. 48. Kapotka koronkowa dla starszej osoby.



Pl. 643.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.